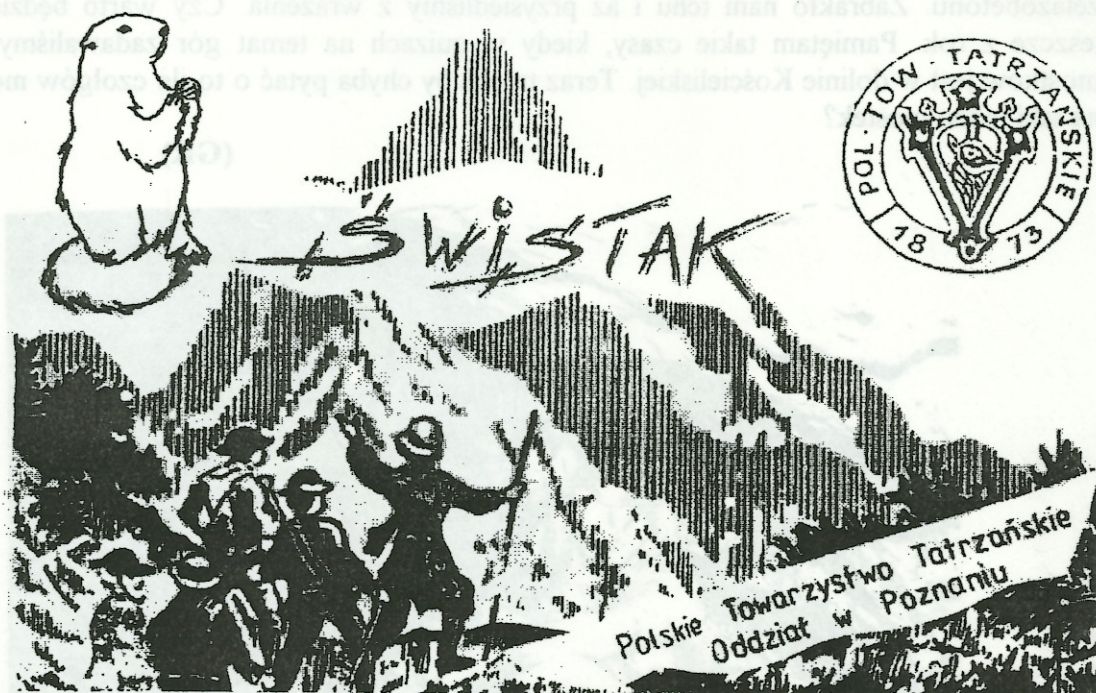




ROK IV Nr 9(41)

WRZESIEŃ 1994

KTO CHCE ZESZPECIĆ DOLINĘ KOŚCIELISKĄ?

Jeszcze dzień wcześniej szedłem z przyjacielem doliną Bystrej i zastanawiałem się nad niewielkimi zmianami, jakie zaszły w Tatrach przez ponad dwadzieścia lat mojego świadomego ich pojmowania. Pomijam historię tego chodzenia najpierw czysto turystycznie, jeżdżąc na nartach na Hali Gąsienicowej, potem jako strażnik ochrony przyrody by wreszcie zrobić kartę taternika i wspinać się poza ogólnie dostępnymi szlakami oraz na zezwolenia z dyrekcji Tatrzańskiego Parku Narodowego prowadząc badania w jaskiniach Tatr Zachodnich.

Tak się złożyło, że nasz Oddział dosyć mocno związał się z Dyrekcją Tatrzańskiego Parku Narodowego poprzez przynależność tejże właśnie do naszego Oddziału. Mocno także zaangażowaliśmy się we współpracę z Parkiem Strażą Ochrony Przyrody, przewodnictwem, pomocą na szlakach

Co nas dotąd zastanawiało i bulwersowało? Nieodwracalna, chociaż naturalna dewastacja otoczenia Stawu Smreczyńskiego w latach 60-tych. Nie do końca zrozumiała polityka wobec uprawiania sportów zimowych. Zamykanie i otwieranie szlaków turystycznych w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i nieoczekiwanym czasie. Wyłączanie różnych obszarów spod możliwości eksploracji wspinaczkowej. Wyprowadzenie z Tatr hodowli owiec i ponowne jej wprowadzenie. Obłożenie opłatą w postaci biletów wartości przyrodniczo-krajobrazowych. Ostatnimi czasy próbuje się ograniczyć nasze zapędy zdobywania gór na dwóch kółkach bez silnika. Wszystko to odbywało się jednakowoż w miarę naturalnie budząc w nas uczucia nieuchronności lub bezsilności. A obecnie? Poszliśmy doliną Kościeliską, którą przemierzaliśmy w obie strony setki razy i już koło Bramy Kraszewskiego pierwsze zastanowienie. Po co ten piach i cement? Dlaczego dolina jeździ traktor. Ale to jeszcze w granicach normy. Przywykliśmy wszakże aby różnym rzeczom się nie dziwić. mijamy halę Pisaną i za kolejnym zakrętem pojawia się naszym oczom ohydny, wręcz odrażający widok mostów przytłaczających ciężarem

żelazobetonu. Zabrakło nam tchu i aż przysiedliśmy z wrażenia. Czy warto będzie wrócić tu jeszcze z rok. Pamiętam takie czasy, kiedy w quizach na temat gór zadawaliśmy pytanie ile mostków jest w dolinie Kościeliskiej. Teraz trzeba by chyba pytać o to ile czołgów może wjechać na taki jeden mostek?

(GR)



Grzegorz Rachlewicz

DWA RAZY "ŁODOWA"

akt I - ZIMA

Znowu po czterech latach jestem w Tatrach dla innej niż chodzenie po dolinkach przyczyny¹. Gdy wysiadłem z pociągu na dworcu w Zakopanem przywitał mnie gęsto syjący śnieg. Było już ciemno, chociaż godzina jeszcze niezbyt późna. Nikomu nie polecam w czasie zimowych ferii trasy przez Kraków jeżeli zaplanował sobie dostanie się w góry autobusem PKS-u, a wcześniej nie zarezerwował biletów. Musiałem wybrać wariant: Kraków Płaszów - Zakopane osobowym "żółtkiem" co zakończyło się tym, że wszystkie autobusy do Kir zdążyły już uciec. Nie chcąc czekać godzinami na zlitowanie się komunikacji, ku wielkiej radości zmarzniętego kierowcy, biorę taksówkę. Do bazy docieram w gęsto syjącym śniegu, który ma być zbawieniem dla organizatorów Uniwersjady zaczynającej się za dwa tygodnie. Dotychczas góry były beśśnieżne, co i dla nas nie stanowiło wielkiej atrakcji. Jako mieszkańcy równin mamy coraz mniej okazji nacieszenia się białym szaleństwem.

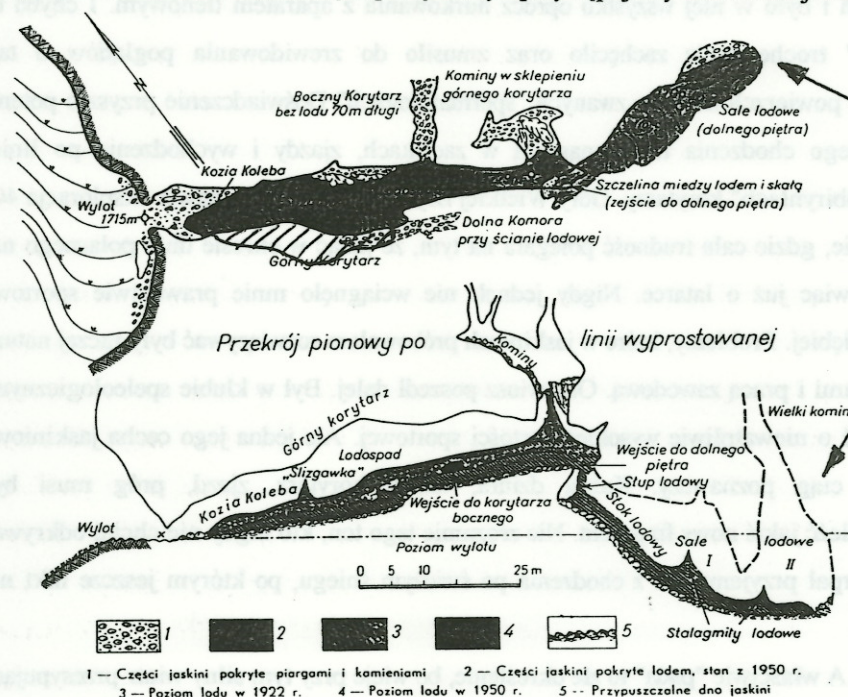
¹W dniach 24-30. 01. br. odbył się w Kirach jubileuszowy obóz z okazji 20-to lecia istnienia Sekcji Speleologicznej Studenckiego Koła Naukowego Geografów. Wzięło w nim udział ponad trzydzieści osób w tym wielu absolwentów i założycieli z lat 70-tych. Oprócz spotkań towarzyskich i wspominkowych odbyto szereg wyjść do jaskiń w tym do Szczeliny Chocholowskiej, Magurskiej, Zimnej, Psiej i Lodowej w Ciemniaku

W bazie tłoczno. W tym roku przypada dwudziesta rocznica założenia Sekcji Speleologicznej Studenckiego Koła Naukowego Geografów. Przyjechali ludzie, których nie widziałem całe lata i tacy, których nie znam wcale. Następuje uroczyste otwarcie obozu, z szampanem i mowami, a potem wspomnienia z minionych dwudziestu lat. Wśród obecnych odnajduję Oktawiusza. Stary druh, z którym wspólnie w 85 roku rozpoczynaliśmy chodzenie po jaskiniach. Pamiętam pierwsze swoje wyjście. Jaskinia Naciekowa, luty, przypadkowo dobrane odzienie wierzchnie (kombinezon typu "mistrz ślusarski"), zaadoptowany kask budowlany, baterie "Centra" do czołówki, które nie wiadomo czy w ogóle dadzą prąd. Moje wcześniejsze doświadczenia jaskiniowe, to turystycznie Mroźna, Raptawicka i Mylna z latarką w ręku. Wspinałem się po powierzchni i grotolazów, zgodnie z utartym w środowisku poglądem, uważałem raczej za gorszej kategorii ludzi gór. Teraz poważnie: schodzimy przez wąski otwór do wstępnych komór i najchętniej człowiek by się posuwał na czterech kończynach, bo to wszystkie kamienie pod nogami się ruszają i co rusz głową walę w strop powodując hałas wzmocniony w moich uszach skorupą kasku. Ta pierwsza akcja trwała 12 godzin i było w niej wszystko oprócz nurkowania z aparatem tlenowym. I chyba to "wypuszczenie na głęboką wodę" trochę mnie zachęciło oraz zmusiło do zrewidowania poglądów o tak niewybrednie przez moich kolegów powierzchniowców zwanych "spermatologach". Doświadczenie przyszło potem. Następne kilka lat intensywniejszego chodzenia to gimnastyka w zaciskach, zjazdy i wychodzenie po linie, odnajdywanie właściwej drogi w "labiryntach" korytarzy. Góry Wielkiej Brytanii, Jugosławii, nawet eksploracja 40-metrowej jaskini na Spitsbergenie, gdzie cała trudność polegała na tym, że jadąc w okresie dnia polarnego nie mieliśmy nawet świeczki, nie mówiąc już o latarce. Nigdy jednak nie wciągnęło mnie prawdziwie sportowe chodzenie: jak najszybciej, jak najgłębiej. Problemy, które w jaskiniach próbowałem rozwiązywać były raczej natury statycznej, związane z moimi studiami i pracą zawodową. Oktawiusz poszedł dalej. Był w klubie speleologicznym, ma na swoim koncie szereg przejęć o niewątpliwie wysokiej wartości sportowej. Ale jedna jego cecha jaskiniowa jest wybitna. Ma nieprzeciętny ciąg poznawczy. Każda dziura, każdy korytarz, zjazd, próg musi być wyeksplorowany. A nuż uda się znaleźć jakiś nowy fragment. Nie zrozumie tego ten, kto nigdy nie chciał odkrywać nowych łądów lub chociaż nie czerpał przyjemności z chodzenia po świeżym śniegu, po którym jeszcze nikt nie stapał.

Od dwóch dni pada śnieg. A właściwie "pada" to złe określenie, bo wieje przy tym silny wiatr przesypujący zwały śniegu po graniach i gromadzący jego nieprzebrane masy w dolinach i innych zacisznych miejscach. Siedzenie w zatłoczonej bazie lub towarzyskie wyjścia do małych jaskiń w Kościeliskiej i Chochołowskiej w atmosferze towarzysko-happeningowej, chociaż przyjemne nie daje jednak pełnej satysfakcji. Trzeba się ruszyć dalej w góry. Pakujemy zatem sprzęt, jedzenie na dwa dni i za cel obieramy sobie biwak w jaskini Lodowej w Ciemniaku. Jest ona ciekawym przypadkiem wśród jaskiń tatrzańskich. Położona w zboczach Czerwonych Wierchów, w kotle Kamienne Zadnie na wysokości ponad 1700 m n.p.m. zawiera w swoim wnętrzu sporej wielkości lodowczyk. Stanowi od ponad dziesięciu lat obiekt naszych badań geomorfologicznych i glaciologicznych.

Aby nie kopać się w głębokim śniegu wybieramy drogę graniową. Z Wyżniej Kiry Miętusiej przez Adamicę na przełęczkę pod Chudą Turnią i dalej trawers kotła. Ponad górną granicą lasu zadymka jest tak silna,

że nie widać sąsiadujących ze sobą traserów wyznaczających szlak. Idziemy trochę na wycucie, ale przecież znamy obaj tę drogę prawie na pamięć. Trudno by było policzyć ile razy i w jakich warunkach ją już przemierzaliśmy. Chociaż Oktawiusz brał udział w jednym takim wyjściu, kiedy od pobłądzenia uratowało ich tylko posiadanie busoli geologicznej. Największe niebezpieczeństwo w tym rejonie to zejście na stronę doliny Miętusiej, chociaż i na stronę Kościeliskiej można zapchać się w strome zerwy Organów czy Bramy Kraszewskiego. Idę cały czas jako drugi, ledwo nadążając za moim partnerem, który bezbłędnie odnajduje drogę do otworu. Stajemy przy nim po trzech godzinach od wyjścia z bazy, co jest niezłym czasem przynajmniej jak na moją kondycję. Wejście do Lodowej jest sporych rozmiarów, a sama jaskinia należy do "czystych" to znaczy nie trzeba się wycierać po zablokowanych korytarzach. Zwłaszcza zimą przy ujemnych temperaturach, kiedy lód jest suchy nie trzeba się specjalnie przebierać w ochronne kombinezony. Na dworze zapada zmierzch, ale nam to nie przeszkadza, gdyż osiągnęliśmy dzisiejszy cel, a pod ziemią i tak będziemy potrzebowali sztucznego oświetlenia. Rozkładamy biwak na kamiennej platformie, gotujemy ciepłą strawę, trochę odpoczywamy i przystępujemy do realizacji naszego programu.



KOMINY OKTAWIUSZA

— komora ze ścianą lodową, oddzielną
przez nas w trakcie opisywania
akcji!

Plan J. Lodowej wg Zmieskiego (1987):
i w tatrzańskim przewodniku.
Wyd. Geol., Warszawa

Jaskinia składa się z dwóch poziomów: górny to tzw. Ślizgawka czyli jezor lodowy wznoszący się o 12 metrów, oraz Dolne Sale Lodowe, do których zjeżdża się prawie 20-to metrowej wysokości Lodospadem. Pomiedzy tymi częściami znajduje się wąskie przejście często zatkane lodowym korkiem. Przebijamy otwór i instalujemy linę do zjazdu. Trochę ruchu nas rozgrzewa. Oktawiusz pokazuje mi kominy, które rok wcześniej wywspinał. Są to partie jaskini, które nie były wcześniej przechodzone. Jest to niewątpliwy sukces naszego środowiska. robimy zdjęcia i mierzymy repery poziomu powierzchni lodu. Generalnie tendencja w ruchu pokrywy lodowej przez okres naszych pomiarów jest ujemna, ale są duże wahania z roku na rok. Wychodzimy z powrotem na górną platformę i tu spotyka mnie przykra niespodzianka. W dół jakoś się ześlizgnałem, ale powrót sprawia mi trudności. Ciut zbyt mało podkuliśmy otworek i w pewnym momencie zaklinałem się na amen. Gdyby Oktawiusz mi nie pomógł to

chyba bym czekał aż lód wokół mnie stopi się od ciepła mojego ciała. Inne wyjście to zejść z powrotem i rozebrać się. Brrr!

Ale główny cel naszego biwaku jest inny. Inne z wcześniejszych eksploracji mojego kolegi doprowadziły do odnalezienia szczeliny na kontakcie lód-skała, która rokowała nadzieję na dalsze odkrycia. Poprzednio Oktawiusz był sam i próba przeciśnięcia się o mało nie została zakończona zaklinowaniem (przestroga przed chodzeniem w pojedynkę). Mamy przedwojenny opis Zwolińskiego. Lodu w jaskini było znacznie więcej, w tym miejscu sięgał prawie stropu, ale była szczelina, przez którą schodził do podnóża Ślizgawki. Znowu bawimy się w rozkuwanie lodu, a kiedy otwór jest już dostatecznie szeroki ubezpieczamy zejście liną, aby uniknąć przykrych niespodzianek przy wychodzeniu. Dreszczyk emocji przed Nieznany i ... było warto. Szczelina otwiera się w małą salkę, a potem w korytarz wzdłuż lodowej ściany. Widać piękne warstwowanie lodu, miejscami powykręcane w nawiązaniu do układu kamienistego podłoża. Ale, ale?! Na planie Mistrza Zwolińskiego układ jest odwrócony. Powinniśmy udać się na wschód, czyli w głąb masywu Czerwonych Wierchów, a my idziemy na zachód, w kierunku otworu. Jest tego ze 20-30 metrów i jak potem sprawdziliśmy dochodzi prawie do końca lodu. Myszkuje po zakamarkach, odrzucamy trochę kamieni w nadziei znalezienia dalszych przejść, ale nie znajdujemy już nic więcej. Takie odkrycia to jak na zbadane wzdłuż i wszerz Tatry i tak już bardzo wiele. Godzina z resztą zrobiła się już bardzo późna. Noc w jaskini niczym nie różni się od dnia, więc musimy w końcu wyznaczyć sobie czas na spanie. Trochę niewygodne kamienne łóża przykryte cienkim piankowym materacykiem. Trzeba znaleźć optymalne skrócenie ciała między głazami i już go nie zmieniać. Trochę jeszcze rozmawiamy i nie wiedząc jak powoli odpływamy w krainę snu.

Przebudzenie w warunkach jaskiniowych następuje powoli. W powietrzu w zasadzie nic się nie zmieniło. Ciemno i minus kilka stopni. Trudno wyjść z ciepłego śpiwora. Gorąca herbata stawia nas na nogi. Trzeba się zbierać do bazy. Jest raczej późny ranek. Na dole będą się wieczorem o nas niepokoić, o ile przekroczymy wpisany wcześniej czas powrotu. Na dworze też bez zmian. Mgła i zadymka. Ale jak tu nie wierzyć w siły nadprzyrodzone. Trawersując Kamienne Zadnie Oktawiusz gubi rak i musimy się cofnąć aby go poszukać w kopnym śniegu. Zabiera nam to kilkanaście minut i równo w południe wychodzimy na Przełęczkę pod Chudą Turnią. Widoczność jeszcze gorsza niż wczoraj. Nagle z mgły, od strony Miętusiej dochodzi nas wołanie. Myślimy, że się przesłyszeliśmy, ale głos się powtarza. Idziemy w tamtym kierunku i... Przykryci już cienką warstwą śniegu, w śpiworach leżą dwaj młodzieńcy i drą się w niebogłosy. Są mniej zdziwieni tym spotkaniem niż my, bo oczekiwali, że ktoś przyjdzie. A jak do tego doszło? Przyjechali z Tarnowa, chodzą do szkoły średniej. Jeden z nich był już w Tatrach latem i wypróbował wtedy CB-Radio. Jego wniosek był prosty: można się porozumieć na falach eteru z kimś na dole z dowolnego miejsca na grani. Uzbrojeni w taką wiedzę i oczywiście w krótkofalówkę chłopcy ruszyli przez dolinę Kościeliską, Czerwone Wierchy i chcieli dojść do Murowańca. Mieli jeszcze kawałek sznurka i jedną parę raków. Wiedzieli jeszcze jedno - do wysokości ok. 1400 m n.p.m. pogoda była ładna, nawet świeciło słońce. Szli dzielnie do góry, może dobrze, że nie znali zimowego szlaku ściśle granią i trawersowali ponad Małą Świstówką. Gdy się zrobiło ślisko założyli po jednym raku, a gdy dodatkowo popsuła się widoczność zalegli i bez skrupułów zaczęli wzywać pomocy. Trochę się tutaj zawiedli, bo TOPR nie działa na częstotliwościach CB. Kontakt

jednak nawiązali z radio-taksówkarzami a Zakopanem, a ci poinformowali kogo trzeba. Odwrotną drogą przesyłano im słowa otuchy i informacje, że ratownicy przyjdą ok. południa i od 12:00 mają krzyczeć ile sił w płucach. Ratownicy przyszli, ale z zupełnie nieoczekiwanej strony. Zdziwili się także GOPR-owcy, gdy kilkaset metrów niżej zamiast dwóch poszkodowanych spotkali schodzących czterech zawodników. Po krótkiej reprimendzie nasi poszkodowani schodzą dalej ubezpieczani już przez sześciu ludzi. Dla nas dzień ten kończył się pięknie. W dolinie świeciło słoneczko, wkoło były góry iskrzące się świeżym śniegiem. Czekali na nas przyjaciele, by dalej celebrować nasze nieustające Święto Gór.

Morał?... po co komu takie morały!



akt II - LATO

Czekamy już drugi tydzień. Leje! Leje deszcz! Nasza codzienna droga okupiona przemoczeniem kolejnych kompletów ubrania to piętnaście minut do Kir do "Harnasia", suszenie się przy kuflach piwa i te same piętnaście minut powrotu. Brydź, dym z fajki i opowieści....

"Pamiętacie? To musiało być w 85-tym. Poszliśmy do jaskini Psiej w Wąwozie Kraków. Jest tam taka zlotówka (studnia ze zjazdem) na samym początku. Jakieś 15 metrów. Były to czasy, gdy nie mieliśmy dużych ilości sprzętu, więc komplet do zjazdu wędrował w dół i w górę. Nudzili się ci co wylosowali ostatnie numery. Wreszcie zostało ich dwóch. Przeciwnie charaktery. "Zyga" - flegma i z reguły nieobecny duchem i "Dziadek" - oględnie mówiąc osobowość wybuchowa. "Zyga" zjechał, rozpiął uprząż, zwinął rękę w trąbkę i woła: "Dziaaadeeek! A Petzla

(przyrząd zjazdowy) byś chciaaał?" A "Dziadek" - i to trzeba widzieć - wychyla się nad studnie, trzymając się jedną ręką liny: "A co kurwa? Na łeb mam skoczyć?!"

" Kiedyś w "Harnasiu" przypiął się do nas góral. Wszyscy mieli już trochę w czubie, więc się bratali ze sobą. Zbieramy się do wyjścia, a on za nami. Na dworze zaczynają przypalać papieroski, a on mówi do "Dziadka Włodka": "No uderz mnie". Niewybrednie został spławiony, ale nie dał za wygraną: "No uderz mnie". W końcu "Dziadek Włodek", bardzo spokojny człowiek, nie wytrzymał i palnął między oczy. Tamten padł. Chłopcy dalej przypalali papieroski. A góral twarda sztuka - wstał i oddał. "Dziadek Włodek" tak szybko się nie podniósł i musiał szukać dentysty dla naprawy złamanej jedynki. Każdy prawdziwy mężczyzna musi mieć złamaną jedynkę"

"A jak wszyscy z bazy poszli szukać "Szwagra", który zaszył się w innej bazie z nowo poznaną panienką skądś tam. Dorwali ich pod makatką "Szczęść Boże temu domowi". Biedak zasłaniał swą nagość tym co miał pod ręką, a miał tylko gitarę (i tak duża powierzchnia)"

"W Naciekowej jest taki zacisk, gdzie Maciej walczył 40 minut, a Kasia przeszła go na stojąco, a Zbyszek tak się obzał w jaskini, że nie mógł precyzyjnie się przez zacisk wyjściowy, chociaż niektórzy twierdzili, że zatrzymał się na swojej męskości. Jest nawet o tym piosenka"

Płyną opowieści, a to wszystko fakty. Tylko z dnia na dzień ubywa słuchaczy. Program sportowy i naukowy już został wykonany. Nikomu nie chce się dłużej moknąć i chodzić w ciągle wilgotnych ciuchach.

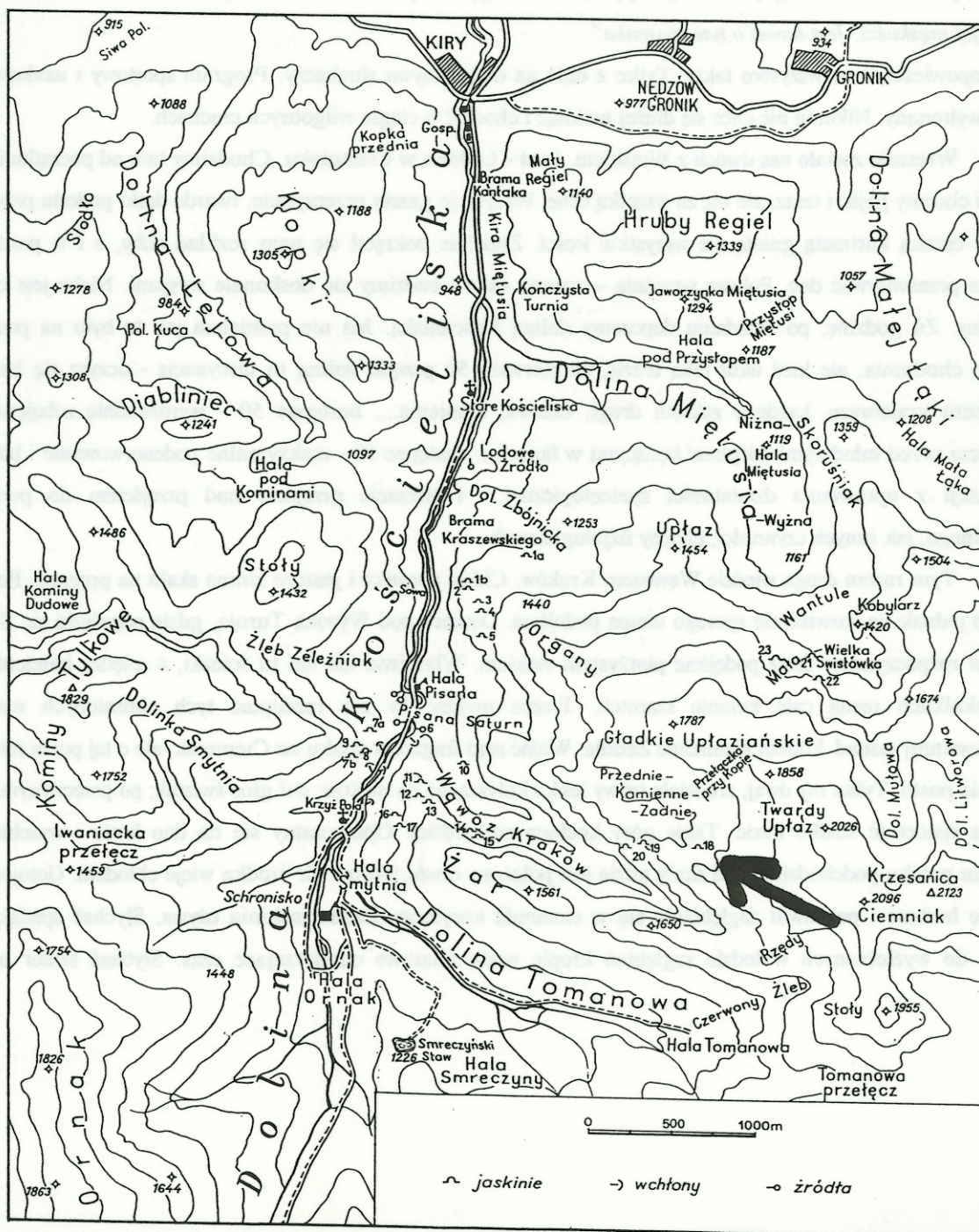
Wreszcie zostało nas dwóch z Wieśkiem. I cel - Lodowa w Ciemniaku. Chodzimy tam od początku badań sekcji i chcemy pójść i teraz, ale nie za wszelką cenę. Wszystkie gazety przeczytane, twarde deski podestu przykryte jedynie cienką karimatą gniotą we wszystkie kości. Zupełnie pokreślił się nam rozkład doby, a i w portfelach zaczyna prześwitywać dno. Połowa września - czwarta rano - budzimy się doskonale wyspani. Niebo jest czyste. Ruszamy. Za godzinę, po śniadaniu depczemy doliną Kościeliską. Już nie pamiętam jak to było na początku mojego chodzenia, ale ktoś ukuł taką teorię, że pierwsze 50 przejść doliną to fascynacja - uczysz się każdego fragmentu krajobrazu, każdego zakrętu drogi, drzewa, kamienia.... następne 50 - wyrozumiałe zobojętnienie, zwłaszcza przed młodszymi adeptami będącymi w fazie I.... następne 50 - maksymalne podenerwowanie i bliskość rezygnacji z uprawiania działalności speleologicznej.... i wreszcie przejście nad przejściem do porządku naturalnego, jak innych czynności, choćby fizjologicznych.

Tym razem droga wiedzie Wąwozem Kraków. Chłód poranka i jeszcze zimna skała na progach. Pozwala nam to jednak na rozwinięcie sporego tempa podejścia. Dopiero pod Wysoką Turnią, gdzie odgałęzia się Siedem Progów rozpoczynamy ostre podejście piarzystym stokiem. Właściwie nie ma tu ścieżki, a między kamieniami i przy skałkach rosną całe kolonie szarotek. Trzeba uważać by nie rozdeptać tych chronionych roślinek. Odpoczywamy ponad kotłem Kamienne Zadnie. Widać stąd fragment szlaku na Ciemniak, ale o tej porze roku jest zupełnie pusto. Tylko my dwaj; zrudziałe trawy lekko kołyszą się na wietrze; dał głos świstak; po przeciwnym stoku leniwie spaceruje stadko kozic. Takie góry kocham najbardziej. Opuszczamy się na dno kotła i wyschniętym korytem potoku podchodzimy pod skały gdzie jest położony otwór jaskini. Ze środka wieje chłodem. Gotujemy na butanie herbatę i po chwili zagłębiamy się w ciemność korytarza. Latem jaskinia ożywa. Słychać spadające ze stropu do wyżłobionych w lodzie zagłębieni krople wody miarowo odmierzające czas. Słychać szmer małych

strumyczków łączących się przy krańcu lodowczyka w większy ciek ginaący między głazami. Zamykam oczy, dotykam gołą ręką powierzchni lodu i przenoszę się w czasie do odległej epoki lodowcowej. Przenoszę się we wspomnieniach w swoje podróże za koło podbiegunowe, gdzie również z Wieśkiem stawaliśmy na szczytach i przełęczach, a wokół nas po horyzont rozciągały się niezliczone cielska lodowców pokrywające płaskowyże, wypełniające doliny.

Trzeba się zbierać w dół. Czas tutaj płynie zbyt szybko, a my nie jesteśmy przygotowani na biwak. Na powrót wybieramy jeszcze inną drogę. Trawersujemy kocioł Kamiennego Zadniego i Kamiennego Przedniego i jeszcze na chwilę rozkładamy się na krawędzi urwiska Żdziarów. Lekki wiatr niesie zapach trawy i ziół. Na wprost chylące się ku zachodowi słońce, a na jego tle, jak nieładna piramida, masyw Kominiarskiego Wierchu. Przed nami jeszcze zejście stromym Żlebem Pisany, w oddali małe ludziki wędrują dnem doliny. Kończy się nasze tatrzańskie lato.

Tej nocy spadł śnieg. Gdy się obudziliśmy góry były gotowe by nas pożegnać w białej szacie. Trwajcie tak do kolejnego powrotu.



MAPA W. ZWOLIŃSKIEGO (1987)
otoczona dol. Kościeliskiej